

Kamila Mitek

BAŚNI
O
SKŁAVENIE

*Ilustrowata
Julia Wiktoria Sottys*

Baśń o Sklavenie © Kamila Mitek

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D.B. Foryś

Korekta: Beata Sagan-Szendzielorz

Projekt okładki:

Julia Wiktorja Sołtys

sołtysjuliawiktorja@gmail.com

Ilustracje:

Julia Wiktorja Sołtys

sołtysjuliawiktorja@gmail.com

Skład: Marcin Halski

ISBN: 978-83-68177-26-8

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Nie powiem

Email: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

Wersja papierowa dostępna na:

www.niepowiem.com.pl

Kamila Mitek



Baśń o Sklavenie

*Ilustrowała
Julia Wiktoria Sottys*

WOJKOWICE 2024

**NIE
POWIEM**

Moim ukochanym synom - Mikołajowi i Bartkowi

Królestwo Orła Czarnopiórego (Dolny Śląsk)



1. Mniejszy Gród (stolica królestwa) - Legnica
2. Większy Gród - Wrocław
3. Gród na Wzgórzu - Legnickie Pole
4. Głogowy Gród - Głogów
5. Jaworowy Gród - Jawor
6. Bolkowy Gród - Bolków
7. Szczawnogród - Szczawno-Zdrój
8. Buczylas - Wąwóz Myśluborski
9. góra Radogost - nazwa oryginalna
10. zamek Grodno na górze Choinie - nazwa oryginalna
11. Karkonosze z najwyższym szczytem Śnieżką



ROZDZIAŁ 1.

KRÓL MIKOŁAJ MA STRAPIENIE

Król Mikołaj z posępną miną krążył po komnacie. Za oknami panowała ciemność. Raz po raz słysząc było pohukiwanie sowy, która rozpoczęła nocne łowy. Poza tym nic nie zakłócało ciszy panującej wokół zamku. Królestwo spało. Po wypełnionym ciężką pracą dniu jego mieszkańców zmorzył zasłużony sen. Wszystkich poza królem. Ten przechadzał się po komnacie, ściągając ciemne brwi i mrucząc do siebie pod nosem. Króla Mikołaja trapił bowiem pewien kłopot. Kłopot, który zdawał się nie mieć dobrego rozwiązania. Miał za to imię – Bartoszek.

Młodszy brat króla ulepiony był z zupełnie innej gliny niż pozostali mężczyźni w rodzinie. Podczas gdy królewski dziadek i ojciec odznaczał się naturą spokojną i stateczną, co odziedziczył po nich także Mikołaj, Bartoszek od niemowlęstwa wykazywał zgoła

inne cechy. W wieku dwóch lat objeżdżał zamek na psie, który posłusznie się temu poddawał. Wymachiwał przy tym kijaszkiem, odgrazając się, że poucina wrogom głowy, a przynajmniej ręce. Gdy nieco podrósł, bez wahania dosiadł konia, i to największego w królewskiej stadninie. Kazał podać sobie prawdziwy miecz i tylko stanowcza odmowa Mikołaja powstrzymała zdarzenia, które mogły mieć miejsce później. Zapewne dzięki królowi stajenni zachowali głowy i ręce. Nie uniknęli za to kilku siniaków, gdyż rozjuszony Bartoszek zdążył się zaopatrzyć w nowy kijaszek, większy od poprzedniego, i wymachiwał nim tak sprawnie, że w niejedno ucho trafił, nim Mikołaj wyszarpnął mu go z dłoni.

Jeśli tylko wśród synów rycerzy, stajennych lub okolicznych chłopów znalazł się śmiałek gotowy stawić czoła Bartoszkowi, dochodziło do zapasów na klepisku za chlewikiem. Pod koniec tychże, śmiałek zamknięty w żelaznym uścisku Bartoszka kwiczał jak prosiaki w chlewie i błagał o litość, a książę śmiał się w głos.

Trzeba dodać, że Bartoszek posiadał jedną ważną cechę, która nierzadko pozwala wygrać mu w zapasach. Mianowicie był śliczny, czym tak skutecznie mylił swoich przeciwników, że ci zupełnie nie spodziewali się, jaka siła drzemie w jego mięśniach i jaki hart w duchu. Rozwiane blond loki, słodkie jasnozielone spojrzenie i figlarny uśmiech sugerowały raczej chłopca pogodnego, przyjacielskiego. I takim też bywał. Ale nie na polu walki. Tam przeistaczał się w wojownika, rycerza, którym zawsze chciał zostać, by podbijać świat.

O tym wszystkim rozmyślał teraz strapiony Mikołaj, krążąc po obszernej komnacie, marszcząc się i mrucząc. Najchętniej wtłoczyłby Bartoszka w książęcy strój, posadził po swojej prawicy przy stole obrad i kazał mu tam siedzieć do końca panowania. Tak byłoby

najlepiej i dla niego i dla całego królestwa. Tylko jedna niejasna myśl nie dawała mu spokoju. Myśl, która prześladowała go, odkąd pamiętał:

Czy tak byłoby najlepiej również dla Bartosza?



ROZDZIAŁ 2.

KSIAŻĘ CZY RYCERZ BARTOSZEK?

– Wasza książęca mość! Wasza książęca mość!

Bartoszek poczuł na policzku ciepłą dłoń, która delikatnie poklepywała go po twarzy. Przeciągnął się, ziewnął i otworzył jedno oko.

– Pora wstawać – odezwał się niewysoki, pękaty majordomus Sergio.

Miał ciemną czuprynę, śniadą cerę i okrągłe, przyjazne oblicze. Wszyscy podejrzewali, że pochodzi z południa, ale nikt nie znał dokładnego miejsca jego urodzenia. Ojciec Mikołaja i Bartoszka przywiózł go do pałacu z jednej ze swoich wypraw. Sergio był sierotą i potrafił wówczas wymówić jedynie swoje imię. Król otoczył go opieką, a ten stał się jego najbardziej oddanym sługą. Teraz równie wiernie służył Mikołajowi i Bartoszkowi, a trochę wierniej temu drugiemu. Dzielili bowiem pewną tajemnicę.

Sergio wyjrzał przez okno na dziedziniec.

– Sir Marcin już czeka. Szybko, niedługo będzie jaśnieć.

Podał Bartoszkowi kaftan i pomógł mu zawiązać sznurki przy kurtce.

– Jeszcze to! – Wyciągnął dłoń z długim płóciennym workiem.

Bartoszek chwycił go i pognał schodami w dół. Wybiegł z wieży sypialnej, a potem przemknął do stajni, która o tej porze była cicha i wyludniona. Ciemności w jej wnętrzu rozpraszało tylko kilka zawieszonych na ścianach pochodni. Pachniało końską sierścią i świeżym sianem. Księżę rozejrzał się dookoła. Nagle na szyi poczuł ucisk czegoś twardego, co zmusiło go, by unieść podbródek i wstrzymać oddech.

– Garda, jaśniepanie, garda! – Usłyszał stanowczy głos sir Marcina. – Zawsze musisz być gotowy na przyjęcie ataku. Nie możesz dać się zaskoczyć!

– Tak jest, sir Marcinie! – zgodził się Bartoszek zduszonym głosem. – Czy mogę... teraz... odetchnąć?

– Oczywiście.

Sir Marcin opuścił długi drewniany drążek i zrobił kilka kroków wokół księcia, który łapczywie łapał powietrze. Bartoszek w końcu zapanował nad oddechem i wyszarpnął z worka własny drąg. Każdego ranka, nim zapiał kur, ćwiczył pod okiem dowódcy królewskich wojsk, by stać się rycerzem. I nie byłoby w tym niczego zdrożnego, gdyby nie fakt, że król Mikołaj nie miał o tych ćwiczeniach bladego pojęcia. Co więcej, Bartoszek wiedział doskonale, że jego brat ich nie pochwalał i gdyby wyszły na jaw, sir Marcin, Sergio i on sam nie uniknęliby bolesnej, acz sprawiedliwej kary.

Dopóki jednak król trwał w niewiedzy, Bartoszek korzystał z tego, ile wlezie. Wylewał siódme poty na porannych treningach, na których szlifował technikę (na razie przy użyciu drągów, a nie mieczy), a wieczorem robił pompki i przysiady w swojej komnacie. Król tolerował jedynie jazdę konną i łucznictwo, więc chociaż tym

Bartoszek mógł zajmować się otwarcie, a robił to z równie ogromnym zapalem.

Teraz drobił kroczyki na twardym klepisku stajni i wymachiwał drągiem w rytmie komend wydawanych przez sir Marcina. Potem przeszli do bezpośredniego starcia, podczas którego sir Marcin uczył go zasad walki mieczem, a następnie zasiadali razem na stogu siana i oglądali ryciny przedstawiające największych mężów w boju. Bartoszek nie mógł oderwać wzroku od potężnych, odzianych w zbroję postaci, które jednym zamachem odcinały głowy trzem rycerzom, ciskały kamień wielkości kociołka na odległość dwustu kroków, czy potrafiły rozplatać na pół smoka lub inną poczwarę z mokradel.

Sir Marcin objaśniał mu przy tym nie tylko wojenne tajniki, lecz uczył go także historii Królestwa Orła Czarnopiórego, które stoczyło wiele walk z sąsiednimi krajami, nim raz na zawsze ustalono jego granice. Sam dowódca pochodził z Jaworowego Grodu. Gród ten szczycił się najmężniejszymi wojami i oparł się niejednemu najazdowi obcych wojsk. W czasach pokoju to stamtąd sprowadzano najlepsze piwo korzenne oraz źródlaną wodę Jaworowy Zdrój.

Kiedy sir Marcin skończył opowiadać i odłożył ostatnią rycinę, Bartoszek zerknął na niego z nadzieją.

- Sir Marcinie, czy jestem gotowy?
- Gotowy do czego?
- By wziąć udział w turnieju? To już za tydzień!

Sir Marcin utkwiał w nim łagodne spojrzenie błękitnych oczu i podrapał się po niewielkiej oponce na brzuchu, która wcale nie przeszkadzała mu być najszybszym i najsprawniejszym wojownikiem w królewskiej armii.

- Król zabronił ci udziału w turnieju, mój panie.

– Tak, wiem. – Bartoszek spuścił głowę, a jego serce przepełnił ogromny żal. – Nie cierpię tych jego obrad! Siedzenie przy stole dłużej niż pół godziny to tortury!

Zerwał się ze stogu i krążył po klepisku, raz po raz uderzając się pięścią w pierś.

– Muszę wziąć udział w turnieju! Muszę znaleźć sposób!

– Będzie ich jeszcze wiele, jasnie panie. Nie spieszmy się z tym, trenujemy. Cierpliwość to cnota.

– Raczej nie moja – sapnął Bartoszek przytomnie, bo choć odznaczał się wieloma cnotami, to z pewnością nie tą, o której wspomniał sir Marcin. – Muszę walczyć w turnieju! Inaczej... umrę! Umrę!

Sir Marcin uśmiechnął się pod jasnym wąsem i z uznaniem pokiwiał głową. Bartoszek zapowiadał się na największego rycerza w historii królestwa. Jeśli tylko zapanuje nad swoją zapalczywością. Lecz czy to się ziści... Tego sir Marcin nie był w stanie przewidzieć.



Bartoszek nie był jedyną osobą w królestwie, która nie mogła się doczekać turnieju. Królestwo Orła Czarnopiórego w pocie czoła przygotowywało się do wydarzenia, a w samej stolicy wrzało jak w ulu. Najwięcej pracy mieli kowale, którzy dniami i nocami podkuwali konie, wytwarzali miecze oraz groty kopii i strzał, naprawiali zbroje i hełmy. Huk ich młotów niósł się po całym Mniejszym Grodzie, i tak gwarным z powodu przybyłej doń braci rycerskiej hałasującej po szynkach i gospodach. Wieczorami na ulicach grodu słyszeć było tubalny śmiech, uderzenia kufli o kufle, utarczki słowne, porykiwania, a nawet szczęk broni, gdy wyklócano się o to, kto zwycięży w turniejowych konkursach. Mieszkańcy tolerowali to tylko dlatego, że

rycerstwo dawało dobrze zarobić. Po zmroku nikt o zdrowych zmysłach nie wychodził z domu, by nie natknąć się na skorych do bitki wojów.

W zamku także panowało ożywienie, którego głównym sprawcą był oczywiście Bartoszek. Nieustannie deptał królowi po piętach i z niesłabnącym zapałem przekonywał go, żeby udzielił mu pozwolenia na wzięcie udziału w potyczkach. Słowem: brzęczał mu przy uchu jak trzmiel na polanie, czego Mikołaj miał serdecznie dość. O udziale księcia w turnieju nie mogło być mowy! Doświadczeni rycerze roznieśli go w pył. Jego młodszy brat nie przyjmował tego jednak do wiadomości i ponawiał gorące prośby, które z wolna przeradzały się nawet w łagodne pogróżki.

W końcu Mikołaj nie wytrzymał, odwrócił się do Bartoszka i stanął z nim twarzą w twarz tak blisko, że niemal stykali się nosami.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę o turnieju, to każę zamknąć cię w wieży na cztery spusty i pooglądasz go sobie jedynie z okna komnaty. Zrozumiano?!

Jego stanowczy ton zmusił Bartoszka do uległości. Chwilowej. Księżę wybiegł z zamku i pomknął do stajni, w zaciszu której mógł pozbierać myśli. Kiedy się w niej znalazł, cisnął wiaderkiem na wodę o pusty boks, a potem kopnął w stóg siana, krzywiąc się straszliwie, czym przepłoszył sprzątającego końskie odchody chłopca stajennego. Biedak ów nie miał jeszcze dwunastu wiosen i nie rozumiał rozterek Bartoszka. Wiedział jednak, kiedy nie wchodzi się wielmożom w drogę. Najszybciej, jak potrafił, pokuśtykał w stronę padoku, gdzie trenowały królewskie rumaki, zostawiając księcia sam na sam z niewesołymi myślami.

Bartoszek przysiadł na stogu siana i rozmyślał nad swoją sytuacją. Do pełnoletności zostały mu jeszcze dwa lata. W tym czasie musiał słuchać rozkazów Mikołaja. Najgorsze, że perspektywy na

przyszłość nie rysowały się w lepszych barwach. Starszy brat był wszak królem. Zgodnie z panującym w królestwie prawem zasiadł na tronie, gdy tylko osiągnął odpowiedni wiek. Ich rodzice wybrali nieduży zameczek w górach i przenieśli się tam, by korzystać z uroków natury i czekać na wnuczęta. To Mikołaj rządził więc poddaniymi. Jeśli nie przekona go do swoich racji, Bartoszek będzie skazany na wegetację przy stole obrad. Chyba że...

Prężnym ruchem ciała zerwał się ze stogu, a jego oczy zajaśniały wewnętrznym blaskiem w półmroku stajni. Wiedział! Już wiedział, co robi, by spełnić swoje marzenie i stanąć w szranki z największymi rycerzami Królestwa Orła Czarnopiórego.



Tymczasem w zamkowej kuchni ogień buchał wesoło ze wszystkich palenisk, a nad nim bulgotały ogromne gary z rosółem i zupą grzybową. Najznamienitsi rycerze zostali zaproszeni do zamku na poprzedzającą turniej wielką ucztę i wszystko musiało być cud-miód, jak mawiał szef królewskiej kuchni. Podkuchenni odziewali więc kaczki, gęsi i bażanty z pierza, obierali góry ziemniaków i marchwi, nosili wodę ze studni i starali się nie zemdleć w kłębiących się w kuchni gorących oparach.

Nad tym wszystkim pieczę trzymał kuchmistrz Szarlotka, tęgi i przysadzisty, opasany fartuchem z grubego płótna, w wielkiej, wypranej w ługu czapie na głowie. Przechadzał się między uwijającymi się jak mrówki sługami, klepiąc się po wystającym brzuchu i od czasu do czasu próbując tej czy innej potrawy łyżką zwisającą na długim cienkim łańcuszku z szerokiego karku. Wydawał przy tym tubalnym głosem kolejne polecenia, tak że podkuchenni



podskakiwali w miejscu i pędzili do piwnicy po główki kapusty lub długim pogrzebaczem poprawiali żarna pod kotłami. Kuchmistrz Szarlotka uchodził za wymagającego, choć jego przeszłość nie była wolna od osobistych wpadek.

Jako młody kucharz kochał eksperymenty. Na nic się zdały wpajane mu latami przez dziadunia nauki i rodzinne przepisy. Choć miał nimi wypchaną głowę, nużyły go od dawna znane smaki i potrawy. Pragnął czegoś nowego, świeżego, czym zaskoczy nie tylko swojego władcę, ale całe królestwo. Zbierał więc dziwne rośliny, sprowadzał zza granicy kolorowe przyprawy lub poskręcane korzenie, suszył je i tarł na proszek, a potem dorzucał szczyptę tego czy owego do sosów, zagniatanych ciast i zup. O dziwach, jakie powstały w wyniku tej zabawy, krążyły w zamku legendy. Najbardziej znana była historia słynnych zgagageretek.

Kiedy ojciec Mikołaja, król Artur, podejmował ważnych posłańców z sąsiedniego królestwa, kuchmistrz Szarlotka postawił sobie za honor podjąć gości unikatowym deserem. Przygotowując galaretki maczane w cukrze, dosypał do nich tajemniczy składnik, a potem zaserwował je jako zwieńczenie uroczystej wieczerzy. Tak się jednak stało, że po ich zjedzeniu wszyscy ucztujący dostali przeraźliwej zgagi, a nieszczęsne zagagaretki wylądowały w fosie. Wylądowałby tam i Szarlotka, gdyby nie dobre serce króla Artura. Ten nie tylko zostawił kucharza przy życiu, ale pozwolił mu nadal pracować w królewskiej kuchni. Wreszcie nic aż tak strasznego się nie wydarzyło... do czasu.

Kilka miesięcy później król Artur wybierał się w odwiedzin do swojej babki, która zamieszkiwała niewielki zamek w Bolkowym Grodzie. Nakazał kuchmistrzowi Szarlotce przygotować pudełko z łakociami, bo chciał podarować je znanej z łakomstwa kobiecie. Szarlotkę znów poniosła fantazja i choć ciastka

z fistaszkami wyglądały z pozoru niegroźnie, okazało się, że powodowały nad wyraz męczące wiatry. Babka króla Artura spędziła dwa dni w odosobnieniu, a pokojowe wchodziły do jej komnaty z nosami obwiązanymi lnianymi chustkami. Pierdziciacha – jak obwołali je mieszkańcy królestwa – na długo stały się obiektem drwin i żartów. O królewskiej babce nie wspominając.

Wówczas król Artur nie wytrzymał i zakazał Szarlotce wszelkich eksperymentów pod groźbą wypędzenia z królestwa. Wystraszony kuchmistrz usłuchał nakazu... oficjalnie. Nieoficjalnie bowiem potajemny handelek z gagaretkami oraz pierdziciachami kwitł w najlepsze i przynosił niemałe dochody. Wielu mieszkańców podrzucało je swoim nieprzyjaciołom i zacierało ręczki w oczekiwaniu na efekty. Szarlotka przyjmował więc zamówienia i realizował je nocami, choć nie można powiedzieć, by czynił to całkiem wolny od poczucia winy. Jednak pieniądź to pieniądź. No i wszakże nikt od tego nie umierał.

Byłoby niesprawiedliwością nie wspomnieć, że Szarlotka miała na koncie także eksperymenty udane. Jego babiciacha, ulepszona wersja ciasteczek babki kuchmistrza, cieszyły się ogromnym uznaniem i stanowiły podstawę wyżywienia rycerzy odsyłanych w długą drogę ku granicom królestwa, gdzie stacjonowali w celu ich ochrony. Babiciacha znakomicie dodawały sił, syciły i miały długi okres przydatności do spożycia. Spore ich zapasy przechowywali nawet wieśniacy, którzy cichcem skupywali je od wojów w zamian za świeżą gąskę lub worek ziemniaków.

Kiedy Szarlotka przechadzał się tak między kipiącymi garami, korciło go, by sięgnąć do woreczka ze sproszkowanym korzeniem łubinu i sygnąć garść do sosu pieczeniowego, ale... to była ważna uczta. Zbyt ważna, by znowu ryzykować utratę intratnego stanowiska i – tak, tego również – dobrego imienia.